

nostalgia za kamykiem na stacji w Kuluszkach

Pierwsza zamorska podróż była zamroczeniem. Transatlantycznym hajem.

Wychodziłam na trzynasty pokład i odpalałam papierosa, mimo że w tamtym czasie generalnie nie przepadałam za tytoniem. Tam jednak odczuwałam jego nagłą potrzebę – stawałam przy barierce, wyciągałam Kindla i grubego Marlboro Light, kupionego za kilkanaście centów w strefie bezcłowej. W dole na wprost miałam widok na rufę i kawiarniane stoliki, przy których tłoczyli się goście z talerzami wypchanymi po brzegi hotelowym jedzeniem wątpliwej jakości; jeszcze dwa piętra niżej, po lewej, widać było fragmenty wypełnionych bąbelkami wanien jacuzzi, w których Amerykanie wygrzewali się od świtu w zaskakująco mocnym, alaskańskim słońcu. Na trzynastym nigdy nie było tłoku: przeznaczony tylko i wyłącznie dla członków załogi, wytęsknionych przerwy od długich godzin spędzanych w nagrzanym *engine roomie*, stanowił miejsce ucieczki i statkowej ziemi niczyjej. Stawaliśmy tak sobie w różnych kątach, Ci kucharze – Hindusi, Ci inżynierowie – Filipińczycy, te kelnerki – Serbki, i wpatrywaliśmy się w rozchybotany bezmiar wód. Nasze myśli wędrowały wtedy zupełnie gdzie indziej.

Niedługo potem *deck 13* zamknięto z bliżej nieuzasadnionych powodów.

Na kłamce zawieszono czerwoną tabliczkę ostrzegawczą, a fotele do opalania związane metalowymi łańcuchami.

Musieliśmy więc znaleźć inne miejsce.

Pasażerowie mieli prościej. Do palenia wydzielono im specjalne strefy, właściwie na każdym pokładzie, wiadomo: jeden, dwa, trzy punkty na statku, gdzie mogli stanąć i w zadumie obserwować ocean, czy tam niebo, zaciągając się raz bryzą, raz nikotyną. Oczywiście, bez kiepowania do wody – to było bezwzględnie zabronione.

Załoga miała gorzej. Prócz “trzynastki”, gdzie chodziło się też na nocne wypatrywanie *Aurora Borealis* (mając ze sobą odpowiedni zapas półwytrawnej Santa Cataliny w cenie 3 dolary sztuka, gdyby zorza zawiodła, a zwykle zawodziła), palenie dozwolone było balkoniku przy *crew barze, deck 4* (*Polak, jak widzi balkon, to chce skakać*, pisał Konwicki, więc nie był to mój pierwszy wybór). Istniała jeszcze jedna opcja, moralnie wątpliwa i balansująca na granicy prawa – co sprytniejsi ściągali czujniki dymu i kopcili w ciasnych toaletach przy kabinach, które stanowiły dla nas *ciasne, ale własne* odpowiedniki pokoi (bez okna – zaznaczmy, okna to luksus dla oficerów). Trzecie rozwiązanie zarezerwowane była dla godzin nocnych, pijacko słodkich, duszno zatłoczonych, marynarsko nieodpowiedzialnych.

Zresztą, całe życie na morzu można by tak opisać.

“Chciałbym być pochowany w tych wszystkich miejscach, w których byłem i jeszcze będę” pisał Stasiuk w “Jadąc do Babadag”. Ja płynęłam wtedy do Juneau, płynęłam do Seward, płynęłam do licznych portów o obcych, obojętnych mi imionach, które wciąż wzbudzają uczucie dzikiego rozpalenia serca, chcąc rozszczępienia go i rozrzucenia szczątków między te z jukońskich szczytów, których nikt nigdy nie nazwał i nigdy nie nazwie. Tak jak Stasiuk na Bałkanach, zostawiałam w wodach Zatoki Alaskańskiej fragmenty swoich dłoni, zaaferowane w morską codzienność myśli, zmysły oszołomione widokiem wyłaniających się z głębin wielorybów, szumem polodowcowych wodospadów i gwałtownym letnim deszczem w Beagle Channel.

Sądzę, że tak też należy odczytywać twórczość Stasiuka i wśród tego typu osobistych wędrówek doszukiwać się do niej klucza: pisarz zakopał go na polnej drodze między Czarnem a Wołowcem, w zmrożonych *terra incognita* dzielących, dajmy na to, Żyrardów i Grodzisk Mazowiecki, przez które przejeżdża się mimochodem listopadową nocą na wpół świdomie, albo właśnie – jak w moim przypadku – wśród wzburzeń oceanu, na ziemi-nigdzie, pokładzie statku odbijającego się od brzegów odległych i obcych, więc już nieomal fikcyjnych. Książki autora “Murów Hebronu” czytane w wygodnym fotelu są miłą, ale jednak egzotyczną czytanką o tym, jak bardzo zatraciliśmy się w naszym pozornie uprzywilejowanym podróżowaniu, w punktach zorganizowanym, z tanim lotem o-mało-co nieopóźnionym, a potem przepłaconą sojową latte w jednej z sieciówek w którejś z europejskich stolic, a w której dokładnie – to już mniej istotne, odbicia twarzy w witrynach sklepowych przecież wszędzie się rozmazują podobnie. Pięknem jest, że autor przeważnie nie zachęca nikogo do obranej przez siebie (polnej) drogi; to bardziej pamiętnik włóczykija niż hipsterski anty-przewodnik z półek bestsellerów Empiku. Nie to, żeby Stasiuk w ogóle nie miał dla czytelnika serca: przecież wysyła czasem subtelne sygnały, świadczące, że jednak trochę go frustruje to zachodnie zaślepienie wygodą, pisze: “Tak, wszyscy powinni tam pojechać, do Albanii, która jest podświadomością tego kontynentu, nawiedzającą nocą śpiący Paryż, Londyn, Frankfurt nad Menem”. Ale nie wierzę mu, bo to przecież słowa, słowa, przekorne i płynne, nawijające się po prostu na język, także jemu. Pisarz nie chce (i ja też nie chcę) zbędnego hałasu w tej nieokrzesej wschodniej autentyczności, do której na szczęście wciąż jeszcze można dotrzeć z Polski w ciągu jednej doby blablacarem, starym fiatem, PKS-em, stopem, czymkolwiek. Książki Stasiuka mają w sobie pokorę i apel o umiar, bo przecież rozpanoszyliśmy się już wystarczająco na płatnych autostradach, w hipsterskich barach (tylko piwa kraftowe) i w wygodnych fotelach multipleksów. Jego wędrówka – zresztą tak jak i proza – to wędrówka indywidualna, trasa na spersonalizowanej mapie jest płynnie dostosowana do osobistych preferencji podróżnika, a zatem na swój przewrotny sposób elitarna i nie dla każdego. Mapa, zaznaczmy, niedzisiejsza: wygięta, wytarta, o pozaginanych rogach i zatartych nazwach rzek, gór i wiosek, daleka od komfortu domyślności google maps. Czytanie tego podróżniczego eseju, szczególnie, gdy samemu jest się w drodze, ewoluuje jednak w

lekturę przyjemnie namacalną, wzorcową tułaczkę – zaryzykuję, używając tego wartościującego słowa – pielgrzyma? (choć określenie to ma jednak w sobie zbyt wiele patosu, bo mowa przecież o szwendaniu się po wiejskich drogach, gdy na końcu nie czeka żadne Medjugorie, Santiago ani Fatima. A może w tym rzecz właśnie.). “Jadąc do Babadag” mogłoby być dawane na receptę tym, którzy psioczą na swojskość; samouczkiem, jak dostrzec nową polną drogę w okolicy, którą zamieszkuje się od lat, i pozornie zna.

Stasiuk polubiłby się z Marlboro na *decku 13*.

Myślę, że wynika to ze słabości do bycia *gdzie indziej* – na innych wodach, wśród innych ludzi, do picia innego piwa w innych barach. Kradzenia ludziom zapalniczek a potem znajdywanie ich, miesiące później, w kieszeniach zimowych kurtek. Blokada w sercu przed wyrzuceniem skasowanych biletów do metra z Rio, San Fran czy Kijowa; ten sam lęk przed pozbyciem się wypłowiałej wejściówki na “Gwiezdne Wojny” z chilijskiego kina (jak nazywała się ta miejscowość?). Nieopanowana nostalgia na widok kamyka, gdzie paznokciem wyryto tak mało znaczącą już datę: 06.05.2015, Alaska. *To wszystko zniknie, przepali się jak żarówka i zostanie tylko kulista próżnia, którą wypełnią jakieś nowe kształty.*

Pytanie o zasadność Podróży? Stasiuk prychnąłby, zapatrzył w horyzont i skrzył między palcami kolejnego papierosa z rozmoczonych resztek wschodniego tytoniu, znalezionych na dnie plecaka.

Być może to literacka pazerność i nie powinnam tak zawłaszczać sobie tych sentencji; być może to magnetyzm jakiegoś tajemniczego, zakorzenionego w słowach i niewyjaśnialnego sacrum, które paruje z wersów powieści i jest wdychane bezwiednie jak czad podczas awarii gazu. Sacrum mistyczne i niezrozumiałe, któremu bliżej do niewyjaśnionych ludowych legend i przesądów, niż do zinstytucjonalizowanych prawd kościoła. To przypowieść bez przypowieści i mitologia bez mitu, gdzie wędrówka niepostrzeżenie staje się filozofią, jakkolwiek okropnie to brzmi. Człowiek miejski wyczuwa ten powiew wolności instynktownie i bezwiednie, jakby w powietrzu uniósł się nagle zapach perfum niegdyś bliskiej osoby, i poruszył te struny w sercu, które dotychczas drzemały uśpione. Proza-bodziec, proza-sejsmograf, wrażliwa na wypierane tęsknoty i prawdy, które tak naprawdę mogą być oszustwem, ale jedynym, na które warto tracić czas.

Znów widzialne blaknie wobec opowiedzianego.

Druga zamorska podróż była jak upojenie.

Trzecia – jak kac.

Na oceanach spędziłam w sumie 18 miesięcy. Nie wiem, co pan Andrzej powiedziałby na ten temat. Wysłużenia się podróży, jej zużycia, jej spowszednienia, nawet w wieku potocznie uważanym za młody. Obrzydliwie zwodniczej ucieczki do Znanego. Jakby dni na wodzie były wyłącznie próbą generalną (tylko przed czym?) i zaburzeniem obowiązującej dotychczas, pierwotnej sekwencji zdarzeń; horyzont nagle przestał zataczać kręgi, mnożyć się przed oczami i zmieniać kształty z morskich na górskie, z płaskich na wyłupiaste, z bliskich na odległe. Zatrzymał się w jednym, nieruchomym punkcie i od tego czasu wpatruje się we mnie z pretensją. Prawdziwy świat czyha, mam nadzieję, gdzieś za jego gładką linią i wierzę, że ujawni się nam kiedyś, w innym życiu. *Podróż jest po prostu stosunkowo zdrowym rodzajem narkotyku*, na który rzucają się ci, których widnokraj zawodzi.

Ów papieros – wróćmy jeszcze do niego na moment – palony regularnie chybcikiem na *decku 13*, albo w ciasnej kabinie wycieczkowego statku, robiącego przez jakiś czas za mój dom (ale przypuszczam, że ten sam stan zawieszenia w czasoprzestrzeni istnieje w samochodzie do Babadag, do Klużu, do Międzyzdrojów nawet) był owym “metafizycznym ukłuciem”, wyrazem tego sławetnego buntu, o który chyba coraz trudniej, a który wciąż tli się przy niektórych żółtych drogach. Był wyrazem protestu przeciwko wędrówce daremnej, przeciwko bezcelowemu odbijaniu się od ścian, przeciwko odmienianiu słowa ”dom” przez przypadki i szukaniu coraz to nowszych form komfortu; zbieraniu kamyczków, notesów i biletów, tak naprawdę nie znaczących nic. Ja także dochodzę do wniosku, że wszystkie wioski to w gruncie rzeczy smolista masa i do nas należy zabawa w nazywanie ich: określenie linii dachów, rysowanie dymu z kominów, wpadnięcie w koleiny wypłukanych deszczem dróg, zaciągnięcie zapachem palonych drzew i plastiku. A jak nam się nie chce myśleć, to możemy po prostu trwać w ciszy przez moment, w spokojnym pogodzeniu, z uśmiechem. Czy ma sens wydobyć na powierzchnię tych przelotnych emocji z podróży, które gdzieś tam się zapisują w synapsach jako wzruszenia, sentymenty i nieoczekiwane drżenia serca; to deptanie ścieżek, tworzenie coraz to nowszych kręgów na wodzie, i tak dalej, i tak dalej? Po raz kolejny stajemy w przerażeniu – ramię w ramię z autorem – w obliczu kreacyjnej mocy, boskiego pierwiastka, pogrzebanego potencjału. Właśnie takiego czulszego spojrzenia na świat nauczyło mnie Babadag: *Miasto, Które Może Być Wszystkim, Które Może Być Wszędzie*.

Dziś stoję na stacji kolejowej w Koluszkach. Trwa to już niepokojąco długo; za długo jak na klasyczny postój. Myślę o coraz cieplejszym oceanie, o tym, jak powoli nas podtapia; wyobrażam

sobie nadchodzący koniec i wypływające na powierzchnię wód ekskluzywne samochody, barokowe fotele z francuskich pałaców, które widziały najszanowniejsze pupy swojej epoki; patrzę na płynące z prądem zbiory National Gallery, na taśmy filmowe wijące się niczym morskie węże, na książki (także Stasiuka), miękkie jak plankton, o rogach poobgryzanych przez drobne rybki. Na dwunastej dostrzegam też Babadag: fala niesie minaret Gazi Ali Paczy, nierówne płytki z wychodzonych deptaków, miedziane garnki i sztuce; z nurtem biegnie tabliczka z nazwą miasta i bochenki chleba. Jak martwe ryby unoszą się wokół mnie wyżarte przez rdzę promy. *Ile czasu trzeba płynąć, powiedzmy, do Tiszalök, gdy jest się atomem, okruchem wapnia lub fosforu?* Patrzę na to wszystko z góry i czuję spokój, w sumie to nawet chce mi się śmiać.

Pociąg z tkliwą rezygnacją bardzo konsekwentnie stoi. Dwaj najebani koluszczenie nie mogą się zdecydować: wsiąść czy nie wsiąść, teraz albo nigdy? *Zamknij, kurwa, ryj* słyszę, jak jeden z nich pokrzykuje w rezonującą smogiem i niedzielną ospałością pustkę peronu trzeciego. Konduktor coś odpowiedział, ale nie dosłyszałam jego słów. Zamieszanie, szarpnięcie, trzask, cisza. Jest mi zimno, wskazówki dworcowego zegara zacinają się.

Teraz widzę, jak niewiele zapamiętałam, i właściwie wszystko, co się stało, mogło się wydarzyć gdzie indziej.